



## MIECZYŚLAW BARTOSIŃSKI

Dnia 22 sierpnia 1946 roku w Warszawie p.o. sędziego śledczego, delegowana do Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Warszawie Halina WEREŃKO, przesłuchała w charakterze świadka Mieczysława Franciszka Bartosińskiego, byłego więźnia obozu koncentracyjnego w Neuengamme nr 46 493, który po uprzedzeniu o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań zeznał, co następuje:

---

Imię i nazwisko	Mieczysław Franciszek Bartosiński
Data urodzenia	2 kwietnia 1921 r. w Warszawie
Wyznanie	rzymskokatolickie
Miejsce zamieszkania	Warszawa, ul. Łomiańska 12 m. 5
Narodowość i przynależność państwowa	polska
Zawód	ślusarz

---

28 sierpnia 1944 roku razem z ludnością cywilną Marymontu zostałem wyrzucony z domu przez oddział SS i Ukraińców, odstawiony do kościoła św. Wojciecha na Woli, a po dwóch dniach do obozu przejściowego w Pruszkowie. Stąd w transporcie 3 tys. mężczyzn i z grupą kobiet zostałem odwieziony do obozu w Stutthofie. Po trzech dniach pobytu w obozie odstawiono mnie w grupie 1,5 tys. mężczyzn do obozu w Neuengamme. Transport składał się wyłącznie z wysiedlonych warszawiaków, w większej części z Marymontu i Pragi.

W chwili mego przybycia obóz, jak się zorientowałem po liczbie wydawanych porcji obiadowych, mieścił około 12 tys. więźniów. *Lagerführerem*, tj. komendantem obozu więźniów był pułkownik SS Thumann, człowiek o ponurej twarzy, chodził z oczami spuszczonej, prowadząc dużego psa wilka. Za najmniejsze przewinienie kopał więźniów, bił, szczał psem. Wystarczyło np., by więzień miał numer zamazany, nierówno stał

na apelu, nie zdjął czapki, gdy on przechodził. Gdy Thumann chciał ukarać więźnia, zabierał go do swej kwatery, na wachę lub portiernię i tam pałką gumową osobiście wymierzał od 25 do 50 batów. Czasem, mijając więźnia, który mu się nie podobał na oko, walił go gumą po głowie i twarzy.

Nie umiem podać nazwisk okaleczonych przez Thumanna więźniów, ponieważ byli oni przenoszeni do rewiru, a ja – pracując po dwanaście godzin dziennie w grozie i ciągłym strachu przed biciem – nie byłem w stanie zajmować się losem innych pobitych.

Więźniowie w obozie byli podzieleni na grupy robocze, tzw. komanda, przydzielone do różnych fabryk. Od września 1944 roku do końca mojego pobytu w obozie byłem przydzielony do fabryki, tzw. *Mettalwerke* wyrabiającej karabiny dla *Volkssturmu*, zatrudniającej do siedmiuset więźniów. Grupowym, tj. *Kommandoführerem* był tu Speck, blondyn, 170 cm wzrostu, o krągłej twarzy, cienkim jakby damskim głosem; Speck bił więźniów gumową pałką przy każdej sposobności. Na wigilię 1944 roku za usiłowanie otrzymania na kartę papierosów bez kolejki, Speck zbił mnie po twarzy i głowie gumą i ręką. Uderzenie ręką wybiło mi dwa przednie zęby. (Świadek okazuje, że brakuje mu dwóch górnych zębów z przodu szczęki). W styczniu 1945 za palenie papierosa w ubikacji w czasie pracy Speck dał mi trzy razy po twarzy ręką.

Nazwisk innych Niemców pełniących funkcje w obozie nie pamiętam.

Praca w fabryce była ciężka. Było wymagane minimum produkcji. O ile więzień wykonał mniej, dostawał baty. Ja byłem zatrudniony przy frezowaniu kanałów do gilz w lufach karabinów. W ciągu jedenastu godzin pracy wymagano ode mnie zrobienia 220 – 230 luf. Komando w *Mettalwerke* było lepsze od innych, dlatego że pracowaliśmy tu w pomieszczeniu ciepłym. Znacznie gorsza robota była np. w cegielni, gdzie więźniowie kopali glinę przy 30° mrozu. Słyszałem od więźnia Tokarskiego, obecnie nieżyjącego, utopionego ze statku *Cap Arcona*, że w roku 1941 przy rozbudowie obozu były znacznie cięższe warunki pracy, np. wymagano, by więzień biegiem prznosił 150 kg cementu w worku.

Przy bardzo ciężkiej pracy, pozbawiony odpoczynku (kapowie i *Vorarbeiterzy* pilnowali, by więzień ani chwili nie odpoczął, bijąc), więzień otrzymywał dziennie 450 gramów chleba, 20 gramów margaryny, nie zawsze 100 gramów mięsa, litr zupy najczęściej z brukwi i pół litra czarnej, niesłodzonej kawy.

Więźniowie byli różnych narodowości, najliczniejsza była grupa rosyjska, coś około 5 tys. jeńców i ludności cywilnej. Wśród więźniów Niemców było dużo kryminalistów, natomiast w grupie polskiej elementu kryminalnego nie było wcale. Na terenie obozu mieściło się krematorium, którego z bliska nie widziałem. Dla chorych więźniów był szpital, tzw. rewir. Słyszałem pogłoskę, że ciężko chorych wywieziono ze szpitala w niewiadomym kierunku, po czym zniknęli bez śladu, oraz że na terenie obozu w szpitalu robiono doświadczenia naukowe na chorych.

Nic bliższego o tych sprawach nie wiem.

W bloku zwanym „Torspere”, stojącym przy kantynie, trzymano więźniów izolowanych, których nawet nie zatrudniano. Według niesprawdzonych wersji mieli tam siedzieć partyzanci z Holandii i dwudziestu oficerów z Powstania Warszawskiego. Ostatecznie ocalał z tego bloku jeden mężczyzna, którego nazwiska nie znam, lecz o którym wiem, że był Polakiem, powrócił do Polski.

Zbliżający się zwycięski pochód wojsk alianckich spowodował zaniepokojenie i chaos w obozie. W kwietniu 1945 (dokładnie daty nie pamiętam) przybyły na teren obozu szwedzki i duński Czerwony Krzyż, zabierając więźniów Szwedów i Duńczyków. Zabrano wtedy ciężko chorych ze szpitala, lecz kto ich zabrał i dokąd, nie wiem.

W połowie kwietnia 1945 roku władze obozowe wybrały czterystu więźniów, tzw. prominentów, przeważnie Polaków. Byli to ludzie zatrudnieni w *Reichstube* (kancelarii komendanta), którym się lepiej powodziło. Grupa ta pod silnym konwojem SS pierwsza opuściła obóz i została odstawiona na „okręt śmierci” – *Cap Arcona*. W następnych dniach także pod konwojem SS grupy więźniów liczące po 1 – 2 tys. osób odstawiono pociągami towarowymi do Lubeki, skąd były przewożone holownikami na okręt *Cap Arcona* zakotwiczony na pełnym morzu oraz na stojące o 300 metrów od niego okręty *Thielbeck* i *Athen*. Na *Cap Arcona* przewieziono 8 tys. więźniów, na *Thielbeck* 3 tys. Około 30 kwietnia blisko 2,5 tys. więźniów przeładowano z *Cap Arcona* na okręt *Athen*.

Ja zostałem wywieziony z obozu do Lubeki w przedostatniej grupie około 3 tys. osób, w tym pięciuset lżej chorych. Po tygodniu dostałem się na okręt *Cap Arcona*. Pomiędzy dowództwem okrętu a eskortującą nas załogą SS wynikł spór. Kapitan okrętu chciał przyjąć więźniów jako chorych na statek i wypłynąć pod flagą Czerwonego Krzyża. Nasza eskorta SS żądała,

by statek płynął pod flagą Hitlera. Ostatecznie statki płynęły bez żadnych flag. W czasie postoju w Lubece, przed załadowaniem na okręty, dawano nam dziennie następującą żywność: bochenek chleba na ośmiu więźniów i litr zupy. Na okręcie zachowano te same porcje. Brakło wody i bardzo dokuczała ciasnota, chorzy umierali, za to SS-mani pewni, iż więźniowie nie będą uciekać, nie przychodzą do nas, co sprawia wrażenie pewnej ulgi.

3 maja 1945 roku okręt Athen odpływa do brzegu i zatrzymuje się z powodu jakiegoś zajścia. W tym czasie następuje bombardowanie samolotów angielskich i okręt Athen już na pełne morze nie wraca. Na brzegu wylądowało wtedy 2,5 tys. więźniów, którzy następnie zostali uwolnieni przez wojska angielskie. Ja w tym czasie pozostałem na statku Cap Arcona. W dniu 3 maja mogło na nim przebywać około 6 tys. więźniów. O godzinie 14.30 rozpoczęło się bombardowanie statków Cap Arcona i Thielbeck przez samoloty angielskie. Po pierwszym bombardowaniu oba statki wywieszają białe flagi, jest jednak za późno, okręt Cap Arcona staje w płomieniach. Dopiero w tym momencie Niemcy pozwolili wyjść więźniom na pokład. Panuje przy tym nieludzkie zamieszanie. Wychodząc na pokład poczułem, iż zatliły mi się włosy. Z pokładu zobaczyłem, że w 15 minut po moim wydostaniu się na pokład okręt Thielbeck zatonął. Widziałem, jak więźniowie ratowali się, skacząc z pokładu tonącego statku w morze. O ile mi wiadomo, z tego okrętu uratowała się tylko jedna łódź ratunkowa, a według obliczeń Zarządu Związku Polaków w Neustadt uratowało się 27 mężczyzn.

Na Cap Arcona samoloty angielskie zrzuciły około sześciu pocisków. Przypuszczam, iż jeden z nich musiał uderzyć w bok okrętu, ponieważ około dziewiętnastej (więc w kilka godzin po bombardowaniu) okręt nagle, w ciągu pięciu minut przechylił się na drugi bok i częściowo zatonął, stercząc kadłubem sześć metrów nad powierzchnią morza. W czasie przechylania się okrętu większość więźniów zatonęła lub wpadła do wody. Wstrząs wytrzymali, czepiając się przedmiotów na okręcie, tylko silniejsi. Ja w momencie przechylania się statku uczepiłem się bariery i oprzytomniałem, będąc zanurzony w wodzie po ramiona, po czym wylazłem na niezanurzoną powierzchnię statku.

Według spisu Związku Polaków w Neustadt ogółem ocalało na okręcie Cap Arcona 307 więźniów. Prezes Związku Polaków w Neustadt Kiereziński (imienia nie pamiętam) wrócił do Polski transportem razem ze mną w dniu 30 listopada 1945 roku. Obecnie pracuje na Zachodzie, adresu i stanowiska nie znam.

Odczytano.